1923 r. M A J № 8.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI

DWUTYGODNIK ŁOWIECKI POD REDAKCJĄ JULJANA EJSMONDA



KALENDARZ MYŚLIWSKI.

W maju wolno polować na rogacze, cietrzewie, kaczory, słonki, bażanty —koguty (do 15)

Redakcja Warszawa, Szpitalna 1 m. 1. Administracja: Szpitalna 12. Redaktor przyjmuje we wtorki od godz. 4 i pół do 5 po poł

Łowy na tygrysy — *Gen. Bronisław Grąbczewski.* W przededniu wiosny — *Włodzimierz Korsak.* Do naszych czytelników. (Od Redakcji). Na dropie — *Antoni Terpiłowski.* Izba łowiecka — *Bł. Janic Polczyński.* Polowanie z puhaczem — *Marja Ejsmondowa.* Z Hrubieszowskiej Ziemi — *Jan St. Wydżga* Na ciągu słomek — *Mieczysław Chomiczewski.* Pojęcia myśliwskie w potocznej mowie polskiej — *Juljan Ejsmond.* Rodowód psa — *Paweł Zagórowski.* Rozmaitości. Odpowiedzi od Redakcji. Ogłoszenia.

Wspomnienia myśliwskie z Azji Środkowej.

II. Łowy na tygrysy w Turkiestanie i na Amurze.

Nakoniec nadszedł dzień, w którym ruszyliśmy w drogę.

Skończyły się czasy miłej swobody: — zabroniono wychodzić za kordon, zabroniono strzelać, a ślicznie upierzone bażanty azjatyckie, włóczyły się po drodze, nic sobie nie robiąc z ogromnej karawany i rozgrzebując, jak kury, świeży nawóz koński. Na noc zatrzymywaliśmy się na otwartych polanach, paląc dokoła obozu ognie.

Po 2-ch tygodniach piekielnych nudów, dotarliśmy do Fortu Perowskiego,*) gdzie zastaliśmy straszliwą tragedję. Komendant fortu miał córkę jedynaczkę, która, ukończywszy Instytut, wróciła do rodziców. Korzystając z ciepłego wiosennego wieczoru i księżycowej nocy (noce w Turkiestanie są tak jasne, że czytać można), wyszła z dusznych pokojów na wał na przechadzkę i została porwana przez tygrysa. Żołnierze stojący na warcie o kilkadziesiąt kroków od miejsca, gdzie siedziała córka komendanta, słyszeli krótki, przeraźliwy krzyk ofiary i widzieli, jak coś zeskoczyło z wału, ciągnąc za sobą jakiś ciężar w stronę zarośli na brzegu rzeki, lecz tak oniemieli z przerażenia, że mając w ręku karabiny, nie dali ognia. A potem milczeli, bojąc się odpowiedzialności. Gdy ordynans wysłany na poszukiwania doniósł, że panienki nigdzie niema — wszczął się popłoch. Posądzano kirgizów o zmowę i porwanie. Aresztowano wartowników. Nikomu jednak przez myśl nie przeszło, żeby w jasną, jak dzień księżycową noc, tygrys mógł wskoczyć na wał i porwać nieszczęsną ofiarę.

*) Fort Perowski, założony przez Generała-Adjutanta Perowskiego. Ojciec — wielkorządca kraju Orenburskiego, zdobywca azjatyckich stepów. Córka — Zofja Perowska—zabójczyni Aleksandra II, powieszona razem z Rysakowym, oddała życie za wolność dla ludu rosyjskiego.

Tymczasem już przedtem były dwa wypadki, że wartownicy stojący na tej stronie wałów—przepadali bez śladu.

Objaśniano to dezercją. Warunki służby były bardzo ciężkie i dezercja do wojsk Hudojar Chana zdarzała się nierzadko.

Zrozpaczeni rodzice robili rewizje we wszystkich aułach, naznaczyli nagrodę, szukali wszędzie zaginionej córki, ale bez skutku.

Dopiero w kilka dni zjawił się pastuch, zastawiający sidła na bażanty w zaroślach i przyniósł zakrwawione strzępy sukienki, które znalazł w krzakach nadrzecznych. Rzucili się do zarośli; idąc śladem, dotarto do polany, gdzie znaleziono warkocz, kości obgryzione i resztę ubrania, dowodzące, że nieszczęsną dziewczynę pożarły tygrysy. Tamże znaleziono szczątki zaginionych wartowników, którzy tak samo byli ofiarami krwawych drapieżników.

Panika ogarnęła wszystkich w forcie. Bano się wyjść za bramę nawet we dnie. Nakoniec postanowiono zarządzić olbrzymią obławę i oczyścić zarośla nadrzeczne na przestrzeni kilkunastu kilometrów.

W tym czasie podeszła właśnie nasza „okazja", zasilając miejscowy garnizon. Po wspólnej naradzie postanowiono niezwłocznie przystąpić do obławy. Skorzystawszy z gęsto zadrzewionej wysepki, która znajdowała się prawie naprzeciwko fortu i odległą była od brzegu o 300—400 kroków, wyznaczono strzelców do jej zajęcia. Zebrano jak można najwięcej kirgizów z bębnami, surmami i długiemi trąbami; dano im do pomocy żołnierzy z fortu i „okazji" (razem około 400 karabinów). Obława miała rozpocząć się o świcie jednocześnie na całym froncie po umówionym znaku zapomocą rakiety z fortu. Zwierzęta miano zmusić, by rzuciły się wpław w stronę wyspy.

Kierownictwo obławy objął sam major.

Obsadzenie wysepki i komendę nad strzelcami powierzył naszej kompanji, która po Kazalińskich trofeach, zdobyła prawo głosu w sprawach myśliwskich.

Wzięliśmy się gorąco do roboty. Naprzód z wałów zapomocą lornetki zbadaliśmy teren wysepki, która była piaszczystą łachą około 400—500 kroków długości i 100—150 szerokości, gęsto porosła wierzbiną, cierniem i innemi krzewami. Wysepka miała pozór pustynny i nadawała się do obsadzenia przez strzelców. Z „okazji", oraz z garnizonu fortu wybraliśmy na ochotnika 25 strzelców-żołnierzy, którzy zapewniali, że umieją dobrze strzelać. Dubeltówki nasze nabiliśmy grankulkami. Oprócz tego wzięliśmy z arsenału po jednym karabinie (bijącym teoretycznie na 600 kroków, w rzeczywistości zaś na 200 kroków).

Doczekawszy się nocy, siedliśmy w łodzie powyżej wyspy i wyjechawszy na środek rzeki, spuściliśmy się w dół. Przybiliśmy do brzegu z tamtej strony wyspy, a wyciągnąwszy łodzie i zachowując zupełną ciszę, oczekiwaliśmy świtu.

Z brzaskiem dnia przesunęliśmy się na drugą stronę wyspy i skryci gęstym liściem krzaków, pilnie obserwowaliśmy przeciwległy brzeg rzeki. Około 5 z rana, z wałów fortu wzniosła się rakieta i jednocześnie na całej linji rozległ się piekielny krzyk kirgizów, warczenie bębnów, wycie trąb i surm. Skrzydła dotarłszy do rzeki, zwróciły się do siebie i szły dosyć szybko, przedzierając się przez gąszcze. Pierwsze podniosły się spłoszone bażanty, całą chmarą przelatując na drugą stronę rzeki, która w tem miejscu miała około kilometra szerokości.

Około 8 z rana skrzydło obławy podeszło ku wyspie. Ziębnięci, zjedzeni przez komary, które miały z nas prawdziwą ucztę,—szczękając zębami od zimna i nerwowego podniecenia, skurczeni na mokrym piasku, z wytężeniem wyczekiwaliśmy finału. Małą atrakcję sprawiło nam stadko dzików. Wypędzone z gąszczy przez obławę, biegło jakiś czas gęsiego tamtym brzegiem rzeki, potem rzuciło się do wody, płynąc wprost na nas. Nie wiedzieliśmy co robić, gdy stadko poczęło lądować. Wleciało pędem w zarośla i prawie przeskakując przez nas, rzuciło się w wodę z tamtej strony wyspy. — Ciekawe, że przodowała stadku ogromna maciora z wielkim brzuchem i obwisłemi piersiami, a nie samce, których w stadku było dwa. Dziki rzuciły się w wodę powyżej wyspy, przebiegłszy ją tamtym brzegiem rzeki; znaczy, że wiedziały, iż prąd zniesie je, i miały zamiar odpocząć na wyspie. Maciora prawie otarła się o mnie, tak, że mógłbym ją dostać kolbą.

Naraz w gąszczach pośród obławy rozległo się kilka pojedyńczych wystrzałów i znów wszystko umilkło. Nie widząc, co się stało, nie rozumiejąc celu strzałów, myśleliśmy, że to już po wszystkiem. Koledzy poczęli się burzyć, przeklinając los, że po tylu trudach nawet się nie zobaczyło tygrysa-ludojada. Ledwo uprosiłem ich, by zachowali spokój i doczekali, aż obława wyjdzie na brzeg rzeki.

Tymczasem w gąszczach pokazał się dym szybko rosnący i gnany wiatrem w stronę rzeki. Po chwili wyłonił się tygrys z błyszczącą na słońcu skórą. Obejrzał się podejrzliwie w obie strony i śmiało skoczył w wodę, płynąc wprost na wyspę. Za nim wypadła samica. Zatrzymała się na parę sekund, patrząc w tył, jakby wyczekując i także skoczyła do wody. Dopiero wtedy wybiegły dwa młode roczniaki, wielkości dużego psa z kocią mordą i długim ogonem, jeszcze szare*), podreptały bezradnie na brzegu i także rzuciły się w wodę.— Zamarliśmy, przyciskając broń do siebie.

Samiec płynął śmiało na Tigerstedta, (który leżał na prawo odemnie) zwróciwszy się głową do prądu i trzymając się prostej linji. Samica płynęła powolniej, oglądając się na młode, które trochę znosił prąd. — Podpuściwszy na jakie 60 kroków Tigerstedt dał ognia. Zaświstały grankulki, rykoszetując po wodzie. Tygrys dostał, bo wyłonił się na pół ciała z rzeki, na chwilę przestał płynąć porwany przez prąd, ale zaraz poprawił się, płynąc silnie wprost na mnie. Złożyłem się

*) Tygrysy Turkiestanu dopiero po roku przybierają stopniowo właściwe barwy. Małe mają wygląd dużych szarych kotów.

leżąc. Okazało się, że bujna trawa przeszkadza mi w celowaniu. Nim podniosłem się na kolana i znowu złożyłem do strzału, samiec był już o jakie 30 kroków odemnie. Z otwartą paszczą, ciężko dysząc i patrząc na mnie wściekłemi zielonemi ślepiami, robił straszne wrażenie. Złożyłem się jak mogłem najlepiej i dałem ognia z obydwóch luf, mierząc trochę niżej od głowy. Po strzałach rzuciłem dubeltówkę i schwyciłem za karabin. Tygrys musiał dostać oba ładunki, bo momentalnie zniknął pod wodą i po chwili znowu się zjawił lecz dalej odemnie, przewrócony bokiem, brzuchem białym do góry, a potem zupełnie skrył się pod wodę i nie wypłynął. Równocześnie towarzysz mój z lewej strony, a także strzelcy otworzyli ogień ciągły przeciw samicy i młodym. Po salwie samica zawróciła do drugiego brzegu, ale musiała dostać postrzał, który obezwładnił jej jedną łapę, gdyż płynęła bokiem i nie mogła podołać prądowi rzeki, który znosił ją na dół. Młode, trzymając się matki, zbiły się razem unoszone przez rzekę. Strzelcy zerwali się ze swoich miejsc i pobiegli na dalszy koniec wyspy, strzelając na chybił trafił. Każdy chciał wyładować swoje podniecenie, dawszy celnie parę strzałów.

Słysząc naszą salwę, ludzie z obławy pędem nadbiegli na brzeg rzeki i także rozpoczęli ogień na całej linji. Zaczęła się taka strzelanina, że woda gotowała się wokoło grupy tygrysów, która wkrótce skryła się w nurtach rzeki.

Przeprawiwszy się na ląd — dowiedzieliśmy się, że obława idąc zwartym już szeregiem trafiła na taki gąszcz splecionych krzaków i cierni, że przedrzeć się nie było możności. Nie chcąc przerywać linji obławy, major kazał dać kilka strzałów w gąszcze, a potem zapalił je, co zmusiło zwierzęta do śpiesznej ucieczki. Strzały owe stropiły nas i omal że nie pobudziły do opuszczenia stanowisk, co naturalnie zepsułoby całą obławę.

Wróciliśmy do fortu jako tryumfatorzy. Wszyscy odetchnęli swobodnie i długo w noc dzielili się wrażeniami.

Major zarządził poszukiwania zabitych zwierząt, a my na drugi dzień ze świtem ruszyliśmy w dalszą drogę,

Potem, w Taszkiencie, otrzymałem list od majora, że odnaleziono trzy cielska, lecz skóry popsute były przez wodę i raki. Podziękowałem za wiadomość, prosząc o parę pazurów, z których jeden nosiłem długo przy zegarku jako brelok, będący pamiątką pierwszego polowania na tygrysy.

Gen. Bronisław Grąbczewski.

(D. c. n.)

W przededniu wiosny.

Zima dotrzymała wytrwale do ostatnich możliwych granic. Do dziesiątego kwietnia trwały mrozy kute i śnieżne zamiecie, niekiedy tylko o południu przedzierało się słońce i zaczynało grzać. Wówczas perlista chłodna woda ciurkiem leciała z dachów, a w ciepłych promieniach wirować zaczynały nieśmiałym tańcem pierwsze muszki.

Jednak, w wigilję tego wieczoru, zmieniła się raptownie aura, przewlekła zamieć przeszła nagle w deszcz ulewny a ciepły, pod wieczór wyjrzało słonko i poczerniałe wzgórza zadymiły siwym oparem.

Przez cały dzień następny śmiało się słońce w niepokalanym błękicie, śnieg opadał gwałtownie, a pod nim głęboko, w bruzdach zapleśniałej ziemi szemrać i bulgotać zaczęły wiosenne strumyki. Biała jednolita połeć jesionna popstrzyła się ciemnemi plamami, a pod wieczór pokryła się cała stalową, miejscami prawie czarną barwą podmokłej śnieżnej kaszy.

Pan Orda pewien był prawie, że dnia tego nie pociągną jeszcze słomki, które może nie dolecialy nawet do swych dalekich północnych siedzib, zwłaszcza, że w gęstym lesie śnieg leżał dotychczas na metr głęboko.

Gdy jednak złote promienie słońca przeświecać zaczęły przez szpaler smukłych jesionów, a rosnąca z przeciwległej strony domu olbrzymia topola balsamiczna stanęła w ogniu i nagie jej gałęzie zapłonęły, jak sturamienne świeczniki, — nie wytrzymał i kazał kulbaczyć konia.

Młody Lewczuk, który przed tygodniem przyjechał do Brzozowic, jako leśniczy, a którego wrażliwa na piękno dusza ponosiła gdzieś w przestrzeń. poprosił swego pryncypała, by mógł jechać razem, i w pół godziny potem niosły ich konie wąską drożyną leśną, chlupocąc w głębokich kolejach lub dzwoniąc podkowami o grunt twardy, przemarznięty jeszcze do głębi.

Słomek oczywiście nie było, wieczór czynił się chłodny i mróz brał na noc. Niebo na wschodzie przybrało barwę ciemno-szafirową, a rozmiękły śnieg pokrywał się cienką warstwą lodu łatwo dającą się wyczuć pod palcem.

Ale pan Jan nie zrezygnował z łowów i pe

stanowił rano zasiąść w budce na tokach cietrzewich, które niezawodnie się rozpoczęły. Nie miał on nadziei, aby zimowe stada cietrzewi już się rozbiły, i aby koguty tokowały na ziemi, bijąc się jak zwykle zapamiętale, ale wiedział, że toki rozpalają się zwolna, a stare koguty zaczynają potrochu śpiewać od początku marca, i że posługując się tak zwanemi bałwanami, można i teraz już zabić parę pięknych czerwonobrewych ptaków, pierwszych upragnionych trofeów wiosennych.

Jechali od polany, na której bez skutku oczekiwali słomek, ku odległej o dwie mile leśniczówce Szadurskiego, położonej na rubieży malowniczych, a rozległych lasów brzozowych i szerokiego pasa pól, przeplatanego drobnemi krzakami i błotami.

Leśnik Szadurski, stary wyga, rodem z zaścianka szlacheckiego był mistrzem w tem pierwszem wiosennem polowaniu. Nikt nie umiał tak trafnie obrać miejsca na budkę, ani tak łudząco przystawić do brzózki zatkniętego na żerdzi bałwana. Nikt też nie mógł porównać się z nim w umiejętności napędzania w odpowiednim kierunku cietrzewiego stada, lub pojedyńczego koguta.

Gdzie stary dojść nie mógł z powodu topniejącej na słońcu skorupy śnieżnej, która nie utrzymywała już ciężaru człowieka, a do nart lgnęła z powodu wilgoci, tam posyłał syna, a sprytny malec przez wrodzoną intuicję był niechybnym zastępcą ojca i działał równie niezawodnie.

— Janek lekki, jak kot — mawiał stary, — wszędzie przejdzie, gdzie ja godzinę będę się kopać po śniegu, tam on w pięć minut przeskoczy.

Nasi myśliwi długo jechali w milczeniu. Wąska dróżka wiła się brzegiem mszarnego moczaru, pokrytego lodowym pancerzem, to znów przecinała po groblach szyje błotne. Wreszcie przerwał ciszę pan Orda:

— Pojedziemy teraz parę wiorst bez drogi. Ścieżkę trzeba objeżdżać daleko, przez wieś, a tu na wprost przedrzeć się można teraz, gdy mróz śnieg ściął.

Szczęknęły kopyta o skrzepłą powierzchnię moczaru, konie szły wolno z głowami opuszczonemi ku ziemi, wietrząc rozgłośnie chrapami.

Po pół godzinie zaczerniała przed nimi ściana ciemnego lasu, którego wąski pas dzielił błoto od łąki i pola. Tam stała leśniczówka, niewidoczna w ciemności, zlewająca się swą zszarzałą barwą z pomroką leśną.

Lecz oto psy, czujne stróże, zwęszyły obcych przybyszów i zaczęły ujadać, a jednocześnie lekki powiew tchnął ciepłem ludzkiej siedziby, zapachem dymu i stajni.

Nie zsiadając z konia zapukał pan Jan w niskie okno chałupy, a za chwilę zamajaczyła za czarną szybą jasna plama twarzy ludzkiej i pomruk jakiś dał się słyszeć. Jeźdźcy zeskoczyli z koni, oblegani przez psy, które szczekały jeszcze z obowiązku, kręcąc jednocześnie ogonami.

Zabłysły okna wesołem światłem, skrzypnęły drzwi i ukazała się w nich niewielka postać człowieka starego i wątłego w białych parcianych spodniach i narzuconym na koszulę kożuchu.

— Dobry wieczór — ozwał się głos dźwięczny, świeży i dziwnie młodzieńczy. Proszę do chaty, ja w mig konie oporządzę.

Wziął cugle z rąk Lewczuka i skierował się ku stajence, stąpając bez wahania bosemi stopami po zlodowaciałej powierzchni.

Ugiął pan Jan głowy w nizkich drzwiach chaty, za nim wszedł po omacku Lewczuk w czarny otwór sieni.

Obszerna izba o niskim suficie przedzielona była perkalową kotarą na dwie części, z których jedna służyła za sypialnię, a druga stanowiła świetlicę. Malutka okopcona lampka, zawieszona na poczerniałej ścianie, pomiędzy oknami, ledwo rozpraszała mrok.

— Północ dochodzi, rzekł pan Jan, mamy jeszcze cztery godziny i możemy się zdrzemnąć.

To mówiąc, zrzucił kożuch i zwinąwszy go, położył na ławie, a Lewczukowi wskazał podobne łoże pod drugą ścianą. Niebawem wrócił Szadurski, zagasił lampkę i senna cisza ogarnęła ciemną chatę.

Stary leśnik znał już porządek, którego się miał trzymać, albowiem pan Orda przyjeżdżał do niego niechybnie co roku na te pierwsze toki. Wiedział, że wstać mają o wpół do czwartej, że na tę godzinę ma być gotowy szumiący samowar. Że potem w pierwszych blaskach różowego świtu polecą na śmigłych nartach ku Tobolskim wzgórzom, w brzezinowe zagaje, gdzie odzywała się pierwsza wiosenna pieśń starego cietrzewia, prowodyra zimowego stada, rycerza zakutego w czarną, szafirowo szmelcowaną zbroję, zdobną na hełmie w krwiste pióropusze

* * *

Przez skrzepłą na mrozie równinę śnieżną, usianą gdzieniegdzie połaciami krzaków łozowych i kępami brzóz, posuwały się szybko cztery postacie ludzkie. Śnieg skrzypiał rytmicznie pod stopami, znacząc zdaleka wyraźnem echem drogę myśliwych. Lewczuk nie mógł oczu oderwać od przepięknego zjawiska. Ciemny w stosunku do jasnej zorzy śnieg promieniał dziwnym blaskiem, siejąc cudne liljowe barwy, przechodzące w róż i fijolet, tak czyste, jak błyski tęczy, to znów ciemniejąc niepokalanym błękitem, zapożyczonym z bezdennej otchłani nieba.

Gdy myśliwi doszli na miejsce i zanurzyli się w obszerne przestrzenie krzaków, przerzynanych błotami, pokrytemi na rozlewach świeżym lodem, dzień już się zrobił zupełny. Jaśniejące złotem niebo zapaliło się nagle na dalekim widnokręgu i trysnęły stamtąd zwycięskie nieporównane promienie słońca, zalewając świat cały oślepiającą powodzią światła.

A tymczasem Szadurski z synem krzątali się już przy robocie budek. Cztery dwumetrowe tyki zastawione zostały razem, a wierzchołki ich związane postronkiem. Na wierzchu ułożono szczelnie gałęzie świerkowe i jałowcowe, tak, że budka

przybrała niebawem postać wysokiego i gęstego krzaka. Kiedy Janek odszedł z panem Ordą, aby urządzić drugą budę, stary wyciął dwie drugie żerdzie brzozowe, pozasadzał na końcu po bałwanie, wbijając ostry koniec tyki w otwór na brzuchu i przywiązując za pomocą sznurków. Następnie podstawił żerdź do równej jej wysokością brzózki tak, że bałwan, umieszczony pomiędzy gałęźmi czubka, był łudząco podobny do siedzącego spokojnie ptaka z wciągniętą szyją i nastroszonem od mrozu pierzem.

Usadowiwszy się w budce, Lewczuk przez długi czas słyszał jeszcze oddalające się skrzypienie śniegu, brzmiące szeroko w dźwięcznem, mroźnem powietrzu. Dołem widział wszystko dobrze, albowiem gałęzie tworzące budę, były rzadsze, a tylko kopuła gęsto tkana, aby ukryć wnętrze przed bystrem okiem nadlatującego ptaka.

Widział więc jak zajaśniały cudownem różowem światłem połacie śnieżne od promieni słońca, które przedarło się przez haszcze brzezinowe. Cisza trwała kompletna, od czasu do czasu tylko dolatywało jeszcze z oddali suche i dźwięczne uderzenie topora: to gdzieś w głębi krzaków leśnicy „sadzali w budce“ pana Ordę.

Przed budką ciągnął się pas łąki, zalany obecnie wodą i zamarznięty, wkoło na pagórku rosły wysokie brzozy, a z tyłu przylegał gąszcz młodej brzeziny i krzaków, przezroczy, malowany na różowo przez jaskrawe słońce.

Włodzimierz Korsak.

(D. c. n.).

Do naszych czytelników.

Dziękujemy tym licznym naszym czytelnikom, którzy pośpieszyli do nas ze słowami sympatji zaznaczając oburzenie swe z powodu nikczemnych oszczerstw i kłamstw jakiemi od pewnego czasu obsypuje nas „Myśl Narodowa“.

Nazwiska wszystkich bez wyjątku naszych współpracowników są najlepszą odpowiedzią na bezczelne napaści i kłamstwa. W zwalczaniu rdzennie polskiej placówki przez pisaną pół na pół w żargonie i wydrwiwającą wszystko co polskie „Myśl Narodową“ widzimy pracę pro bono Izraeli, polegającą na sączeniu jadu w dusze polskie, oraz na obsypywaniu błotem wszystkich rdzennie polskich poczynań.

Jest to praca planowa. Pod płaszczykiem antysemityzmu utrąca się kulturalne wysiłki szczerze polskie, podczas gdy pozostawia się w zupełnym spokoju panoszące się u nas na każdym kroku żydowstwo.

Napaść „Myśli Narodowej“ była dla nas niespodzianką. Posiadając w składzie redakcji samych polaków (i to o najpiękniejszych nazwiskach) mogliśmy się spodziewać każdego zarzutu z wyjątkiem tak niesłychanej insynuacji. Ale oszczerstwo jest zbyt widoczne i zbyt obliczone na głupotę ludzką i bezkrytycyzm. Każdy kto miał w ręku choć jeden numer pisma naszego z oburzeniem odtrąci fałsz.

Każdy napad na nas oszczerczego pisma wywołuje nietylko objawy sympatji ze strony naszych czytelników, nietylko spaja nas z nimi serdeczniej, ale jednocześnie zyskuje nam nowych przyjaciół i prenumeratorów.

„Przegląd Myśliwski“ można prenumerować samodzielnie. Milczy o tem „Myśl Narodowa“ świadomie. Unikamy wszelkiej polityki, mając w składzie Redakcji przedstawicieli wszystkich stronnictw — złączonych ukochaniem Polski. Jesteśmy pismem czysto sportowem i nawskroś polskiem.

Dlatego też ujmą byłaby wszelka polemika z naszej strony z „Myślą Narodową“, pisaną z dziwną wprawą i zamiłowaniem w żargonie.

Odpowiedzią naszą na oszczerstwa i kłamstwa w stosunku do nikczemnych a zbyt widocznych fałszów—może być tylko i będzie na przyszłość — pogardliwe milczenie.

Redakcja „Przeglądu Myśliwskiego“.

Na dropie.

Dropie, spotykane w stepowych gubernjach Ukrainy ogromnemi stadami, po kilkadziesiąt sztuk liczącemi, nie są rzadkością na Podolu, zwłaszcza w powiatach graniczących z Kijowską i Chersońską guber., jak Hajsyński i Olgopolski.

Wylęgają się tam one zwykle w wielkich łanach pszenicy, przy rozpoczęciu zaś żniw przenoszą się na ugory, gdzie młode, słabo jeszcze w tym czasie latające, tak doskonale czają się między grudami i skibami, że nawet najsprawniejsze oko dostrzec ich tam nie może. Jesienią zbierają się w stadka i przebywają na zasiewach, wybierając duże i równe przestrzenie, zdala od jarów, kurhanów i rowów, aby się zabezpieczyć od podejścia przez swego najgroźniejszego wroga, myśliwego, którego doskonale umieją odróżnić od przechodzącego lub przejeżdżającego bez żadnych złych zamiarów włościanina; na tem się też fundując, udaje się czasem oszukać tego mądrego ptaka: myśliwy, ukryty w obstawionym snopami wozie, ciągnionym najlepiej przez woły, prowadzone przez włościanina, może podjechać do dropi i to nie bliżej jak na — 100 — kroków, a mając dobrą broń, nabitą loftkami, ma szanse zdobycia t j rzadkiej zwierzyny.

Do jeźdźca na koniu mają trochę więcej zaufania, ale bliżej niż na paręset kroków podjechać się nie dadzą; polując często na dropie, udało mi się dojść do oryginalnego sposobu: podjeżdżałem konno do stada i gdy zaniepokojone zaczynały podbiegać, co u nich zawsze poprzedza zrywanie się, zwracałem raptem konia w ich kierunku i puszczałem go z kopyta pełnym karjerem. Gdym się znalazł przy stadzie, dawałem na chybił trafił dwa strzały w biegu, gdyż na wstrzymanie konia nie było czasu — i, na kilkanaście takich eksperymentów, dwa razy udało mi się zabić po jednej sztuce, — co mi zjednało sławę znakomitego jeźdźca i strzelca, gdyż przyznawać się, że to był traf tylko, jakoś nie wypadało...

W każdym razie sposób ten dawał wielką emocję i satysfakcję, zwłaszcza gdy tak ogromna sztuka z łoskotem grzmotnęła na ziemię.

Bardzo oryginalny i efektowny swym widokiem jest sposób polowania na dropie z kagańcem. Polecało się łanowemu, by dobrze zauważył to miejsce, w którem dropie zasiadły na noc. Gdy się zupełnie ściemniło, (takie polowanie tylko w bezksiężycową noc się odbywa) rozstawiało się kilku myśliwych w linję według wskazówki łanowego, który na wielką odległość okrążywszy miejsce, gdzie były dropie—naprzeciw linji strzelców zapalał smolny kaganiec, — i zaczynał wolno iść prosto na dropie i na będących za niemi myśliwych.

I dziwna rzecz, że ten tak bajecznie ostrożny ptak, czy to zdziwiony tym niezwykłym dlań widokiem, czy też nie wiem z jakiego powodu, dość że nie zrywa się, a zaczyna piechotą uciekać od zbliżającego się doń światła, a zatem w kierunku czyhających nań strzelców.

Naprzeciwko jasno płonącego kagańca znakomicie jest celować do podchodzących dropi. Ten, na którego wyszły, z łatwością może położyć jednego idącego, a drugiego po zerwaniu się w lot,—o ile zachował zimną krew i na należytą odległość dopuścił. A na nerwy takie polowanie mocno działa: naprzód oczekiwanie w ciemności, później raptem w oddali błysk światła, które się coraz więcej rozpala i zbliża i na tle takiem ukazują się biegnące niespokojnie dropie, przybierające w tem oświetleniu jakieś niezwykłe i wielkie kształty, — wszystko to może wytrącić z równowagi zwłaszcza mniej wytrawnego myśliwego, spowodować zawczesny strzał i zepsuć całe polowanie. Ale zdarza się i tak, że dropie, jakby szczęśliwem przeczuciem wiedzione, nie idą wprost przed siebie, a zwracają w stronę. Przeciąć zaś im drogi nie można, gdyż natychmiast ruch myśliwego spostrzegą i ulecą w ciemną przestrzeń.

Pamiętam, jak raz na takiem polowaniu, gdy po przeszło półgodzinnem wyczekiwaniu, z dobrze zrozumianą niecierpliwością. nie dawał się dojrzeć błysk zapalanej pochodni,—raptem wyrasta przedemną postać wracającego łanowego, który strasznie zgnębiony szepcze, że miał jedną tylko zapałkę i to, jak się okazało, bez główki! Ale nie dość na tem, gdyż okazało się również, iż z czterech uczestników polowania ani jednego palącego nie było; — poszedł więc łanowy do czekającego o pół wiorsty naszego zaprzęgu i — tu już był szczyt pechu, — furman też nie palił; pojechał więc coprędzej do odległego o parę wiorst folwarku po zapałki, ale tyczasem dropie zapewne dosłyszawszy jakieś podejrzane, spowodowane tym ruchem, szmery, zerwały się i jakby na kpiny przelatywały nad nami, gdyż wyraźnie dawał się słyszeć charakterystyczny świst skrzydeł,

Wracaliśmy więc ze spuszczonemi na kwintę nosami, ale zato drogę mieliśmy jasno oświetloną, zapaloną temi niefortunnemi zapałkami pochodnią.

O polowaniu na dropie z chartami słyszałem tylko, lecz nie zdarzyło mi się nigdy uczestniczyć na takowem. Ponieważ odbywa się ono późną jesienią, gdy po deszczach nastąpią przymrozki i obmokłe, obmarznięte dropie z wielkim trudem zrywają się, a charty z łatwością dościgają je i duszą, wątpię więc, czy tego rodzaju polowanie może sprawiać przyjemność. Powinno się ono zaliczać do tak zwanego „kucharskiego" polowania. Co prawda, że kucharze nie muszą być bardzo zadowoleni, gdy pan upoluje dropia, gdyż mięso jego, czarne i twarde, zwłaszcza starego, wymaga wiele

umiejętności i zachodów, aby je doprowadzić do możliwego wyglądu i smaku, — powinno się więc zaliczać do kategorji pośledniejszej zwierzyny w dziale sztuki kulinarnej, a tylko wielka trudność w upolowaniu dropia wzbudza u myśliwych tak wielką chęć do łowów na niego.

Ptak to jest tak dziki, że nie zdarzało mi się widzieć oswojonego. Miałem kiedyś wylęgnięte ze znalezionych jaj podłożonych pod indyczkę. Chociaż ta traktowała je na równi z własnem potomstwem, obłaskawić się nie dały, kaleczyły się, rzucając na ściany i poginęły.

Antoni Terpiłowski.

Polowanie z puhaczem.

III.

Spieszno mi dziś było załatwić gospodarskie czynności, by móc corychlej wyrwać się w pole. Taki ranek sierpniowy, rozkoszny, kuszący, największego śpiocha szybko z łóżka wyciągnie. Broń moją (szesnastkę „Sauerówkę") i naboje miałam przygotowane, nieodstępny notatnik w kieszeni i już szłam po puhacza, gdy nadbiegł z płaczem Józiek ogrodnika wołając, że przed chwilą wielki siwo-dropiaty ptak porwał mu gołębia z podwórza, uleciał w pole i zasiadł na pobliskim rowie. Niezwłocznie podążyłam we wskazanym kierunku, ostrożnie rowem podchodząc, ale czujny ptak zerwał się już o jakie trzysta kroków przedemną i poszedł bez strzału. Nie stropiłam się tem zbytnio, wiedząc, że wcześniej, czy później przyjdzie i tak na puhacza, a że nie był to gość przygodny, dowodził fakt, iż w przeciągu tygodnia trzy gołębie zginęły z podwórza. Pierwsze posądzenie padło na kota, dziś jednak naocznie stwierdziłam, że rabusiem tym był gołębiarz (Astur palumbarius), ptak wielce drapieżny, stanowiący dla myśliwego zdobycz upragnioną. Postanowiłam tedy szybko z nim się rozprawić, temwięcej, że tej odmiany jastrzębia w kolekcji jeszcze nie posiadałam. Powróciwszy z pola udałam się zaraz do klatki z puhaczem, by go zabrać ze sobą, ale żadną siłą wyciągnąć go stamtąd nie było można. Zaszyty w najgłębszy kąt, siedział napuszony, dyszący, najwidoczniej chory, nie dając dostąpić do siebie. Powód niedyspozycji szybko się wyjaśnił, gdy Józiek, główny opiekun puhacza, zaraportował, że tenże dnia poprzedniego wsunął trzydzieści myszy na jednem posiedzeniu. Po takiej libacji nie dziw, że był do niczego.

Zostawiwszy go w spokoju poszłam spróbować szczęścia z wypchanym puhaczem, słabą jednak mając nadzieję powodzenia.

Puhacz ten był okazem wspaniałym; znakomicie wypchany, ze łbem nieco ku dołowi pochylonym, dobrze przed drapieżnikami maskującym martwotę szklanych oczu posiadał też pierwszorzędny mechanizm, pozwalający za pociągnięciem odpowiednich sznurków naśladować do złudzenia ruchy żywego puhacza. Mimo to wszystko jednak przebiegłe i ostrożne jastrzębie bardzo rzadko tylko oszukiwać się dawały, wietrząc już zdala zasadzkę. Bezmyślne wrony natomiast (gapami zwane) masowo nań uderzały i można było, zwłaszcza pod jesień, nabić ich sporo; nadlatywały również sroki, sójki i kraski.

W dniu dzisiejszym, tak jak to przewidziałam, parę godzin daremnie w budce spędziłam, zdaleka tylko widząc dwukrotnie przelatującego gołębiarza, który ani razu na strzał się nie zbliżył. W kilka dni potem z innym już animuszem zasiadłam w budzie, mając przed sobą znów mojego żywego puhacza, bardzo jednak wojowniczo usposobionego. Widać przymusowy dłuższy wypoczynek w klatce i względna tam swoboda ruchów zbałamuciły go i odzwyczaiły od wlokących się przy nogach sznurów, bo zaledwie wskoczył na palik, zawzięcie zaczął szarpać pęta. Nie zwracałam na to zbytniej uwagi, będąc zajęta pilnem badaniem okolicy i wypatrywaniem oczekiwanego gołębiarza; gdy nagle uczułam gwałtowne szarpnięcie sznurka, zdrętwiałam. Palik był pusty, a puhacz odeń odcięty, sunął wprost ku mnie, mając jedną łapę zupełnie już swobodną. Sznur wiążący drugą silnie w ręce zacisnęłam.

Krótka chwila wahania. — Chwyciwszy broń, wyszłam z budki. — Stanęliśmy naprzeciw siebie, wzajemnie mierząc się wzrokiem. Nie miałam nic pod ręką, czembym puhacza nakryć mogła, próbuję zatem przyciągnąć go sznurem w stronę kosza, by go doń wpędzić, ale ptak, coraz bardziej zniecierpliwiony, ostro nacierać zaczyna.

Nagle zawahał się i drgnął. — Przeraźliwy, charakterystyczny pisk jaskółek goniących jastrzębia rozległ się w powietrzu. Rzuciłam sznur na ziemię, przydeptując go nogą, by mi puhacz nie umknął. W tejże chwili błysnął w słońcu wyczekiwany gołębiarz. Strzał padł i rabuś runął tuż przed puhaczem. Momentalnie skorzystałam

---

*) Część I i II. „Przegląd Myśliwski" Nr. 4.

z przerażenia jego i szybko nakryłam go koszem. Spokojnie już teraz obejrzeć mogłam piękny okaz gołębiarza, którego zdobycie tyle emocji mnie kosztowało.

O gołębiarzu wiadomo, że atakuje nietylko ptactwo, lecz i na zające się rzuca, siadając im na grzbiecie, zadaje raz po raz dziobem śmiertelne ciosy. Bywały wypadki, że napadnięty szarak próbował umknąć w zarośla, a wówczas drapieżnik jednym szponem w grzbiet mu się wpijał, drugim zaś chwytał się krzaka, by w ten sposób przytrzymać swą zdobycz.

O ile zającowi siły dopisały, zdarzało się, że uciekając, rozrywał swego prześladowcę.

Przy sposobności nadmienię jeszcze, że w dawnej Polsce jastrząb gołębiarz był bardzo ceniony w sokolnictwie i ze względu na niezwykłą swą drapieżność i krwiożerczość chętnie bywał używany do łowów.

IV.

Dzień 4-ty października 1900 r. zapisany był w myśliwskim karneciku jako jeden z najpomyślniejszych w serji mych polowań z puhaczem. Zarówno bowiem pod względem ilościowym jak i jakościowym szczęście mi dopisało. Wielce też przyczyniła się do tego i wyjątkowo ciepła aura, która pobudziła żywszy ruch wśród drapieżników, z najdalszych stron je przywabiając. Wczesnym już rankiem wyszedłszy w pole, nacieszyć się dość nie mogłam przedziwnie pięknym widokiem, jaki roztaczał się przed oczyma. W oddali łąki tonęły wśród mgieł srebrno-białych oparów, dając zupełne złudzenie falującego morza. Rżysko, po którem stąpałam, trawy i podorywy zasnute przędzą babiego lata, obfitą rosą pokryte, mieniły się w słońcu tysiącem barw. Bajkowy ten nastrój potęgowały unoszące się w powietrzu białe, zwiewne pajęczyny.

Szłam jak we śnie, zapomniawszy przez chwilę o celu mej wycieczki, a ocknęłam się dopiero dochodząc do myśliwskiego szałasu w rowie ukrytego. Puhacz usadowił się już na paliku, a ja ledwie zdążyłam zasiąść w mej kryjówce, gdy rozpoczęły się harce napowietrzne aż dwóch jednocześnie atakujących jastrzębi. Błyskawicznie mijały się w locie, chwilami jak race wzbijając się w górę, to znów piorunem waląc w stronę puhacza. Strzeliłam raz i drugi—spadły obydwa. Niezwłocznie zabrałam zabite ptaki. Zaznaczyć tu muszę, (o czem w poprzedniej notatce zapomniałam) że zabitego jastrzębia należy natychmiast uprzątnąć z przed puhacza, którego bliskość ta niepokoi, odrywa uwagę i czujność osłabia, a pozatem żaden jastrząb na strzał się nie zbliży, jeśli nieżywego ujrzy towarzysza. Wprost odwrotnie rzecz się ma z wronami: gdy się zabitą sztukę zostawi na polu, zlatują się gromadnie wszelkie odmiany krukowatych i z żałosnem krakaniem nad nią się unoszą.

Po dublecie, którym tak pomyślnie dzień rozpoczęłam w niespełna pół godziny, nad przerażonym puhaczem, lotem strzały śmignął już nowy napastnik i z niezwykłą zajadłością nań uderzył.

Z zachwytem śledziłam bajeczną zwinność i zwrotność ruchów, piękną sylwetkę ptaka, który odmiennym się wydał od dotychczas mi znanych.— Pierwszy strzał chybił, — poprawiłam z drugiej lufy, już na odległość blisko 70-ciu kroków i ku mej radości drapieżnik spadł, jak piorunem rażony. Trochę większy od myszołowa, ubarwieniem przypominający gołębiarza, choć z wierzchu znacznie ciemniejszy, skrzydła miał długie, ostro zakończone, dziób haczykowaty zębem zaopatrzony, nogi dość krótkie, opierzone i uzbrojone w mocne szpony. Ciekawą byłam, sprawdzić do jakiej grupy ptak ten należy*).

Powróciwszy do domu, ułożyłam przed gankiem plon dzisiejszych łowów, składający się z ośmiu sztuk drapieżników:

1 kobuz (Falco subbuteo) z grupy sokolików, 1 krogulec (Accipiter nisus), 1 błotniak zbożowy o odrębnem, niezwykle jasnem upierzeniu, 4 pomniejsze jastrząbki i wreszcie ów ptak mi nieznany, który okazał się sokołem wędrownym, w sokolnictwie polskiem też szlachcicem zwanym (Falco communis, lub peregrinus) należącym do grupy szlachetnych sokołów.

Marja Ejsmondowa.

---

*) Nieocenione usługi w tym względzie oddała mi znakomita „Tablica do określania ptaków drapieżnych i krukowatych", ułożona przez Jana Sztolcmana.

Z Hrubieszowskiej ziemi.

Ogólna przestrzeń hrubieszowskiej ziemi, ujęta w jednostkę administracyjną starostwo (dawniejszy powiat), wynosi 246680 morgów, z których 97232 morgów przypada na większą własność, zaś na mniejszą 149448 morgów, należących do 223 jednostek wsi, osad i miasteczek.

Z powyższej przestrzeni, — 38810 m. leży pod lasem, — 198829 m. to pola orne i łąki, a 9041 m. przypada na ogrody, pod budynki i drogi, — zatem de facto 237639 m. stanowi ścisły teren, na którym rozwijać się powinna hodowla zwierzyny i racjonalne gospodarstwo myśliwskie.

W czasach przedwojennych dział ten był w wielkiem zaniedbaniu pod każdym względem. Na całej przestrzeni powiatu, za paru zaledwie wyjątkami, nie prowadzono absolutnie żadnej racjonalnej nietylko hodowli, ale nawet ochrony zwierzyny, to też egzystowała ona jedynie samorodnie, t. j. zupełnie naturalnie, czyli: „jak Bóg dał", ale za to niszczyło się ją i tępiło zawzięcie.

Hrubieszowska gleba, sama z siebie bardzo bogata, nie zmuszała rolników naszych do prowadzenia silnej kultury rolnej, która tak zbawiennie wpływa zawsze na rozwój zwierzostanu.—Obciążenie lasów pól i łąk w 90% ciężkiemi, pastwiskowemi serwitutami, uniemożliwiało wprost rozradzanie się zwierzyny i utrzymanie na miejscu, a silnie rozwinięte kłusownictwo z jednej strony, a przez cały rok raubszycowskie polowania, urządzane przez dragonów hrubieszowskiego garnizonu z drugiej strony, niszczyły i tępiły tę trochę zwierzyny żywiołowo.

Nic też dziwnego, że na prywatnych, bardzo zresztą rzadkich polowaniach, ubicie 5-ciu zajęcy w 10 strzelb, w ciągu jednego dnia, należało do świetnych rezultatów.

Z tych zatem względów mieliśmy bardzo mało zajęcy, gdzieniegdzie jakby na pokaz parę sarn, kuropatw prawie wcale, zato można było częściej spotkać się z lisem, dzików zaś było pod dostatkiem.

W powiecie naszym znajduje się kilka znaczniejszych kompleksów leśnych, które, granicząc ze sobą prawie o miedzę, tworzą znaczną przestrzeń, dotykającą całą swą wschodnią granicą samego Bugu, poza którym leży puszcza stężażycka, rozłożona na 60000 morgach. W puszczy tej żyją w znacznej ilości dziki, kiedyś wilki, nic więc dziwnego, że tego rodzaju zwierzyna wędrowała ciągle po tych sąsiedzkich przestrzeniach, mając w niektórych z nich wymarzone warunki pobytu.

Z lasów powyższych największe są: rządowy, matecki, około 6000 m., dawniej i dziś wystrzeliwany przez wojskowych i urzędników państwowych, — ordynacji zamoyskiej około 5000 m. w których od szeregu lat prowadzi się racjonalna ochrona specjalnie dzików, to też urządzane na nie co dwa lata polowania należały do rzędu najpierwszych w Królestwie. — Staszicowskie z serwitutem, około 4000 m., wydzierżawiane zwykle przez wspomnianych dragonów,—stepankowieckie prawie 3000 m., zamknięte, a zwierzyna strzelana tylko przez samego właściciela i 1200 m., raciborowieckie, niżej podpisanego, w których nie można było zaprowadzić żadnej ochrony zwierzyny, wobec serwitutu pastwiska 200 sztuk bydła i koni włościańskich, zatem nocnych wygonów, ogni i t. p. — Niemniej jednak w lasach tych, zawsze, szczególniej w śnieżne zimy, polowania na dziki były pewne, ale zato zające stanowiły istny rarytas.

Swego czasu, a było to w 1896 roku, chciałem coûte que coûte zaprowadzić u siebie ochronę zwierzyny i urządzić choć raz na rok polowańko. Z lasem moim graniczyły o miedzę, ze wschodu — ordynackie, — z południa — stepankowieckie, z zachodu staszicowskie, czyli otoczony byłem przestrzenią 12000 morgową, w czem dwie trzecie ochronnie prowadzonemi kniejami. Dzięki zabiegom i licznym łapówkom, udało mi się utrzymać na publicznych przetargach trzyletnią dzierżawę polowania w lasach Staszicowskich. Sprowadziłem sobie fachowego myśliwca, ślązaka polaka-katolika i rozpoczęliśmy z wielkim trudem, kosztem i mozołem zaprowadzać porządki myśliwskie, zmierzające do ochrony, rozmnożenia i utrzymania zwierzyny na miejscu, z zamiarem dania pierwszego polowania po trzech latach, polowania, na które liczyliśmy bardzo.

Tymczasem mimo zabiegów, starań i wysiłków, mimo siania żarnowca, jarmużu i kapusty, mimo urządzenia lizawek, wywożenia całych kóp owsa w snopach dla zajęcy, — siana i soli dla sarn, zadawanych w specjalnych zagródkach mimo tępienia szkodników, tropienia kłusowników i doprawdy uciążliwego dozoru dniem i nocą terenu, — ten przeklęty serwitut pastwiskowy zniszczył całą naszą pracę, całe nasze nadzieje...

Po dwudniowem polowaniu w bardzo przychylnych warunkach atmosferycznych, przy 12 łowcach, strzelających zupełnie poprawnie, mimo przepuszczenia bardzo małej ilości zwierzyny, mieliśmy na rozkładzie 3 lisy, 6 dzików i 36 zajęcy.— Był to doprawdy rozpaczliwy rezultat.

Pocieszaliśmy się z panem nadleśnym, że, da Pan Bóg, na rok przyszły uda się nam lepiej, gdy nagle dostajemy oficjalną „bumagę", że na następne trzy lata lasy staszicowskie oddane zostały, bez przetargu, hrubieszowskim dragonom na żądanie Sztabu Generalnego w Warszawie.

Sic transit gloria mundi!...

Zakląłem siarczyście i oznajmiłem p. Pinsowi

Melczarek, że na nic nasze wszelkie projekty myśliwskie,—weźmiemy się tylko do kultur leśnych i tępienia szkodników wszelkiego rodzaju. Ale Ślązak mój, dzielny polak,—lecz zawzięty pruski „unteroffizier", oznajmił mi z determinacją i z przekonaniem, że on dokaże tego, że za lat parę, na naszych gruntach i w naszym lesie ubijemy tyle sztuk zwierzyny w ciągu jednego dnia, ile jej nie padła przez okrągły rok w owych trzech otaczających nas olbrzymich lasach. Prosił jeno, aby mu zaufać i dać pełną swobodę działania.

Znając uczciwość, zrównoważenie życiowe i spryt tego człowieka, chętnie się na to zgodziłem.

Rozpoczął tedy walkę z serwitutem na drodze legalnej, prawnej i rzeczowej. Całemi dniami i nocami pilnował lasu, pasących się sztuk bydła i koni, oraz silnie kontrolował wywożone drzewo serwitutowe, a za każde najdrobniejsze nadużycie, nawet niedbałość, czy omyłkę, czy niedopatrzenie, zwracał się do sądów, do komisarza, do policji i tak „zalał serwitutnikom sadła za skórę", tak umiał im tłómaczyć korzyści, jakie mieć mogą ułożywszy się ze dworem o serwituty, że, rzeczywiście w dwa lata niespełna po wyżej opisanej rozmowie, zakończyłem ze wsią serwituty, oddałem 60 osadom 240 m. lasu i 120 m. pola, pozbyłem się raz na zawsze owej sztucznie przez rząd rosyjski wytworzonej „kości niezgody", zdobywając sobie na przyszłość spokój i inny stosunek ze wsią.

I znowu p. Melczarek zakrzątnął się około ochrony zwierzyny na dominjalnem terytorjum, posuwając swój zapał do tego stopnia, że przez trzeci ostatni rok swej pracy i zabiegów zamknął mi las zupełnie, musiałem nabywać z zewnątrz drzewa na opał, budowle, a nawet chrust na płoty i reparacje dróg.

— „Przez rok ptaka obcego nie puszczę do lasu, aby mi się zwierzyna oswoiła" — mawiał p. Pius, ale zato tępił szkodników, czego dowodem, że przez trzyletni okres przygotowawczy miał zapisane w księgach leśnych: 84 sprawy sądowe o kłusownictwo, o wnyki, o chodzenie lub przejazd przez las,—38 lisów wziętych na trutkę, 46 psów ubitych w lesie i na polach, 18 kotów, oraz przeszło 800 sztuk szkodnego ptactwa,—słowem z całem zaparciem się i zamiłowaniem oddał się tej ciężkiej pracy.

W styczniu 1906 roku urządziliśmy pierwsze polowanie jednodniowe. 10 miotów stomorgowych, 12 dobranych strzelb. Wieczorem na sztrece ogłoszono: 4 dziki, 2 kozły i 102 zające.

Goście byli oszołomieni, p. Melczarek — w siódmem niebie, a wynik polowania dowiódł niezbicie raz jeszcze, że przy starannem chodzeniu i rozumnej ochronie można bezwzględnie doprowadzić wszędzie zwierzostan do świetnych rezultatów.

Przyszła wielka wojna. Cztery lata zamieszek i niepokojów. Okupanci. Bolszewicy. Liczna broń po chatach. Ciągła strzelanina wieczorami po polach i pod lasami. To wszystko wypłoszyło, zniszczyło, zmniejszyło zwierzynę w naszym powiecie. Od lat dwóch jest dużo lepiej. Odebrano mnóstwo broni, czego dowodem, setki wnyków, pętlic i sideł znajdowanych dziś w lasach okolicznych. Ograniczono ilość wydawanych pozwoleń na broń myśliwską i prawo polowania. Zwierzyna zaczyna się odradzać i mnożyć, choć o ile rok zeszły był bardzo pod tym względem pomyślny, to w tym roku (sezonie) spotykało się naogół dużo mniej zajęcy, a kuropatw prawie wcale. Lisów zato mamy dosyć, no i psów-włóczęgów, których namnożyło się obecnie mnóstwo, co jest dowodem, że dobrobyt zajrzał już do chat, gdzie w każdej chowają psy na „obronę przed złodziejami", no i dla każdego, kto „poprosi o szczeniaka". Jeszcze tem suwereni nasi nie handlują.

W ostatnich dniach lutego, w bardzo ładnym i wymarzonym lesie „zajęczym" w Podhorcach polowano na lisy, mające tam liczne swe kryjówki. W sześciu miotach ubito trzy lisy, **każdy z nich miał zerwane pętle druciane na sobie**, oraz cztery psy-kundlysy. Piątego zastrzelono. Ładny rezultat, nie ma co mówić!

Przed miesiącem liczne grono ziemian, urzędników państwowych i inteligencji zawodowej w Hrubieszowie zawiązało miejscowe „Kółko myśliwskie", którego zadaniem jest: Zrzeszyć wszystkich ziemian większej własności i całą inteligencję zamiłowaną w łowiectwie,—wydzierżawić prawo polowania we wszystkich 14 gminach na przestrzeniach małej własności,—cały w ten sposób posiadany teren podzielić na równe rejony myśliwskie, zaprowadzić na nich ochronę zwierzyny, silny i fachowy dozór i urządzać co rok porządkowe polowania dla wszystkich uczestników. — Statut i regulamin szczegółowy jest już w opracowaniu, chodzi tylko jeszcze o uzyskanie ścisłej kontroli nad posiadaczami broni myśliwskiej, — ograniczenie jej dla nienależących do „kółka" i odjęcie prawa na polowania dla różnych „amatorów" i „niepowołanych" myśliwych.

Poprowadzone racjonalnie, fachowo, energicznie i sprawnie tego rodzaju „kółko", może dać zarzątek doprawdy znamiennemu rozwojowi i hodowli zwierzyny łownej i krajowemu myśliwstwu tak pod względem satysfakcji moralnej, jak i materjalnych korzyści.

Aby jednak rezultat powyższych zabiegów był w skutkach swych pożyteczny, potrzeba:

1) Bezwzględnego zainteresowania się Rządu w tej mierze.

2) Bezwzględnej pomocy prawa i władz rządowych.

3) Bezwzględnego ograniczenia pozwoleń na broń myśliwską dla nieczłonków „kółka".

4) Bezwzględnego ograniczenia udzielania prawa na polowanie dla niecłonków „kółka".

5) Bezwzględnych, ostrych przepisów na kłusownictwo, oraz na zakładanie drutów i sideł.

6) Bezwzględnych ostrych przepisów co do chowu psów po wsiach i na psy-włóczęgi.

7) Bezwzględnych, ostrych przepisów dla handlujących zwierzyną w zakazany czas.

8) Bezwzględnych, ostrych przepisów dl ochrony zwierzyny wogóle.

Temu zaradzić mogą rozumne normalne przepisy myśliwskie, na wzór czeskich.

Oto garść wiadomości z naszej ziemi hrubieszowskiej, na której krzątamy się około stworzenia solidnego, żywotnego, a w skutkach swych doniosłego „Kółka myśliwskiego",—a że radzibyśmy bardzo dawać o sobie od czasu do czasu pewne wiadomości szerszemu kołu naszego społeczeństwa, a może więcej nawet,—szukać rad i wskazówek u źródeł fachowych, zastrzegamy się, że od czasu do czasu zwracać się będziemy do Szanownej Redakcji z naszemi kłopotami, pytaniami i zapotrzebowaniami, ufni, że nam ich nie odmówi.

Jan Stefan Wydżga.

Izba Łowiecka.

W artykule moim p, t, „Wpływ łowiectwa na wyżywienie ludności" znalazły się pomyłki drukarskie, które mogłyby nasunąć wątpliwości o wartości i intencjach tej pracy.

Odstrzał wyhodowanej zwierzyny obliczyłem w tabeli na 1000 hekt. Dr. Kaczkowski udawadnia, iż ilość przez ludność rolniczą Polski skonsumowanego mięsa wynosi tylko 10.325 kg. (a nie 19.236).

Nie o Izbę Rolniczą też chodzi, gdyż tę posiadamy, lecz o Izbę Łowiecką, którą przed dwudziestu laty założyli Niemcy. Izba ta otacza opieką, i tak już na wysokim szczeblu stojące myśliwstwo, przez sprowadzanie i zamianę zwierzyny. w celu odświeżenia krwi, urządzenie rezerwatów dla zanikających gatunków zwierza, zakładanie muzeów, wystaw, popieranie sztuki i literatury łowieckiej i t. p. U nas objął i wypełnia to zadanie, założony w roku 1920 przez wojewodę poznańskiego Polski Związek Myśliwych, który dotąd zjednoczył w sobie 36 towarzystw w całej Rzeczypospolitej, założył pismo fachowe „Łowiectwo Polskie", dostarcza żywej zwierzyny, wyznacza premje, daje informacje i t. p. Niestety ani władza centralna, która samą inicjatywę powinna była wziąć w swoje ręce, ani społeczeństwo, zajęte innemi sprawami, nie popiera tej gałęzi kulturalnej w tym stopniu, jakby na to zasługiwała.

Siła finansowa prywatnej „Izby Łowieckiej" polega na skromnej składce 36 towarzystw (2.000 mk. od członka) i 20.000 mk. subwencji od władzy państwowej. Takiemi funduszami, jak nietrudno się domyśleć, polskiego łowiectwa zbudować nie można. Na założenie Izby łowieckiej trudno byłoby z pewnością znaleźć fundusze, ale czy nie możnaby, przez rząd stworzonej „Komisji ochrony przyrody" przeistoczyć przez dodanie odpowiednich specjalistów, w „Komisję myśliwską i ochrony przyrody" jednocześnie? Przecież to dwie instytucje mają zbieżne cele i wspólne zadania, które się uzupełniają,

Myśl tę podaję do publicznej dyskusji i kompetentnej władzy do rozwagi

Wł. Janta-Połczyński.

Na ciągu słomek.

Zachód zarumienił się i zabarwił wierzchołki drzew. Nie było najmniejszego wiatru, tylko wkoło rozchodziła się rozkoszna woń natury budzącej się, z długiego zimowego snu. Coś chwytało za serce, rozmarzało duszę i odmładzało ciało, do nowego życia. Bo też życie aż tryskało wokoło. Kosy i drozdy wygwizdywały w zawody różne trele, na wierzchołkach drzew świerkowych, a z małych jeziorek leśnych, koncert żabi rozlegał się potężnym echem. Z poblizkich wiosek dochodziły zmieszane głosy ludzkie, krzyk dzieci, naszczekiwania psów, skrzypienie studziennych żórawi, bek owiec i ryk krów. Ale stopniowo uciszało się wszędzie, tylko jeszcze żaby rechotały i kląskała w krzewach pokrzywka. Wtem cichym, powiewnym lotem przeleciała sowa uszata i przeciągle zahuczała. I znów cisza. Zając jeden, potem drugi, wyleciał na zieloną ruń żyta i zaraz zaczęły z sobą pląsać. Stara koza szła brzegiem zagajów, prowadząc za sobą swe roczne dzieci i strzygąc uszami na wszystkie strony, stąpała wolno, ostrożnie, jakby przeczuwała gdzieś ukrytego wroga. A zdziczały kot pełzał już do ćwierkającej kuropatwy. Wzrok wytężał, wydłużył się i każdy swój cichy krok oblizał — do pewnego skoku. Aż tu w tej błogiej ciszy,

kiedy już ukołysała się dusza myśliwego marzeniem bujnej fantazji, chrapliwy głos rozszedł się w szepcie jakimś i zaraz pisknęło coś ostro: Pi-wit! chrap, chrap! Pi-wit, chrap, chrap.—To słomka właśnie nawoływała swe towarzyszki, tak charakterystycznym głosem, na amory wieczorne. Drgnął teraz myśliwy, jakby dotknięty prądem elektrycznym i „serce pukać zaczęło inaczej". Teraz znów żyłka myśliwska zagrała i w tej chwili ptak wymarzony, na tle czystego nieba wypłynął ponad powierzchnię drzew. Szyjka jego skurczona, sam też krótki, wystawił swój długi dziobek przed siebie i leciał. Wtem buchnął strzał i rozdarł ciszę leśną, aż zając w życie przykucnął, sarny w wielkich, lecz lekkich susach bryknęły w las, a ptak złożony śmiertelnym strzałem, bęcnął rozgłośnie o ziemię.

Za tą pierwszą słomką, ukazała się wkrótce druga, potem trzecia i czwarta. Marzenia myśliwskie gdzieś prysły, zato teraz gorąca krew grała, — aż wreszcie wszystko znów wkoło ucichło.

Rozkoszne te chwile myśliwskie, te błogie wieczory, myśliwy pamięta tak właśnie, jak pierwsze kochanie...

Mieczysław Chomiczewski.

Pojęcia myśliwskie w potocznej mowie polskiej.

W dawnych czasach w Polsce łowiectwo było jednem z podstawowych zajęć ludzkich. Zanim stało się zabawą królów i książąt — było walką człowieka ze światem zwierzęcym, raz — obronną, innym razem—zaczepną, zawsze—walką na śmierć i życie. Zwierzyna stanowiła główny pokarm leśnych ludzi, ciepłe skóry chroniły zimą od chłodów; zabicie zwierza, w którego puszcza obfitowała, zapewniało byt całym rodzinom.

Nie dziw więc, że odkąd powstała ludzka mowa, pojęcia czerpane ze świata myśliwskiego odbiły na niej potężne piętno. W miarę rozwoju wchłaniała w siebie nieskończoną ilość łowieckich słów, porównań, przysłów, które stopniowo przenikały do codziennej mowy i przetrwały w niej po wieki wieków.

Nie mam zamiaru w niniejszem krótkiem studjum rozszerzyć i wyczerpać tematu, do którego kiedyś jeszcze obszerniej powrócę. Chcę tu tylko rzucić szereg luźnych uwag, poruszyć parę ciekawych zagadnień, przytoczyć kilka przykładów.

Zacznijmy od słów mowy potocznej pochodzenia myśliwskiego. Niewątpliwie myśliwskie pojęcie „tropu" zrodziło słowa: s t r o p i o n y, z b i t y z t r o p u, jak również r o z t r o p n y (orjentujący się w tropach) i r o z t r o p n o ś ć. Dla nas pochodzenie myśliwskie (zwłaszcza dwu ostatnich słów) zatarło się zupełnie. Niemniej nie może ono podlegać żadnej dyskusji.

Od „śladu" wywodzi się słowo: „p o ś l e d n i" (ostatni z psów biegnących śladem, potem dopiero pod przenośnią: gorszy). Od tegoż pierwiastku pochodzą wyrazy: ś l e d z i ć, n a ś l a d o w a ć itd.

Łatwo dopatrzeć się źródła myśliwskiego w słowach zaczerpniętych z życia zwierząt łownych, np. b o b r o w a ć, r o z w y d r z o n y, z a c i e t r z e w i o n y, o s o w i a ł y, z a s ę p i o n y, p o s ę p n y, m y s z k o w a ć (jak lis szukający myszy), o d w a l i ć k i t ę, l e ż e ć p o k o t e m, t o k opowiadania...

Niewątpliwie myśliwskiego pochodzenia jest słowo „szczwany"—w znaczeniu chytry.

Myśliwstwu zawdzięcza nasz język wielką ilość p o r ó w n a ń, używanych w mowie potocznej: s e r c e z a j ę c z e, w z r o k o r l i, w z r o k s o k o l i, w i l c z y a p e t y t, b r w i s o b o l e, n i e d ź w i e d z i a p r z y s ł u g a, l e c i e ć j a k s t r z a ł a, r u n ą ć j a k o d u d e r z e n i a m a c z u g ą, c h ł o p j a k t u r; oraz liczne p r z e n o ś n i e: w y w i e ś ć k o g o w p o l e, z a l e ż e ć p o l e (jak ogar), z ł a p a ć s i ę n a l e p, u w i k ł a ć s i ę w s i d ł a, n a g a n k a n a kogoś, ł u p i ć z e s k ó r y, p a t r z e ć j a k n a r a r o g a, ł o w i ć s z c z ę ś c i e.

Na zakończenie przytoczę szereg przykładów, jaki wpływ pojęcia łowieckie wywarły na nasze przysłowia, które są przecież „mądrością narodów". W mowie potocznej mówimy:

„O wilku mowa, a wilk tu".
„I wilk syty i owca cała".
„Nie wywołuj wilka z lasu".
„Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka".
„Popie oczy, wilcze gardło, co zobaczy toby żarło".
„Natura wilka ciągnie do lasu".
„Chłop strzela a P. Bóg kule nosi".
„Każda liszka swój ogon chwali" i t. d.

Świadomie pomijam tu przysłowia myśliwskie, których mamy b. dużo. Chodzi mi tu jedynie o przysłowia p o c h o d z e n i a myśliwskiego, używane w codziennej mowie.

Dzieje łowiectwa naszego odbiły się w mowie, jak w kryształowem zwierciadle; trwają i trwać będą wiecznie, świadcząc o pierwotnem zajęciu przodków naszych. I jeżeli uważnie zaczniemy się wmyślać w tajemnice naszego języka, to tu i owdzie bacznem okiem łowcy odkryjemy świeże i prastare tropy, któremi szła przez wieki Namiętność Myśliwska.

Juljan Ejsmond.

Rodowód psa.*)

Nasz dzisiejszy pies domowy, oswojony i tresowany, jest, jak każda żyjąca istota, produktem wielorakich krzyżowań. Jest ostatniem ogniwem łańcucha, sięgającego wstecz do najdawniejszych czasów.

W czasach przedhistorycznych wałęsały się dzikie psy w ślad za człowiekiem, czyhając bądź to na odpadki zdobyczy łowieckiej, bądź też na ciepłe legowisko przy ognisku. Podobnie jak dziś indjanin nie zwraca uwagi na postępującego za nim „koyota", tak zapewne człowiek pierwotny nie zwracał uwagi na dzikiego psa, który dla niego nie przedstawiał ani niebezpieczeństwa, ani zdobyczy myśliwskiej. Nie odrazu darzył go człowiek swojem zainteresowaniem, nie odrazu zajął się hodowlą jego małych, tresowaniem go do polowania, co było niewątpliwie pierwszą czynnością psa w służbie u człowieka. Jako dowód ostatniego służyć nam może polowanie dzisiejszych mieszkańców Sumatry, którzy się posługują psem do zaganiania zwierzyny w wykopane jamy lub zastawione sieci, lub osaczenia jej, aż do chwili przybycia nader prymitywnie uzbrojonych myśliwych.

Stopniowo zajął się człowiek pierwotny oswajaniem i hodowaniem psa, zamieniając go na towarzysza domowego, — spowodował krzyżowania z dzikimi krewnymi, podobnie jak i w dzisiejszych czasach niektóre ludy znają jedynie oswajanie psów dzikich i okolicznościowe krzyżowanie ich z wilkiem lub szakalem.

Ogólnie znanem jest, że dzisiejsze liczne rasy nie pochodzą od jednego rodzaju przodków, lecz dają się sprowadzić do kilku różnych dawnych gatunków, aczkolwiek w tej dziedzinie jeszcze wiele niejasności czeka na wyniki badań przyrodników.

Profesor Strüder, znakomity badacz, dochodzi w swej pracy „Psy przedhistoryczne i ich stosunek do obecnych żyjących ras" do następujących konkluzyj:

„Od czasów dyluwialnych istniał obok wilka pewien mały gatunek psa. Rodzaj ten dzielił się na dwie główne odmiany, a mianowicie: na t. zw. „dingo" i „canis ferus Bourg". Rodzaje te były tak jak wilki zdolne do przemian, istniały bowiem rasy wielkości średniej i małej. Rasy te garnęły się do człowieka i tworzyły, przez umyślne krzyżowania różnorodne odmiany. Duże rasy powstawały natomiast w różnych miejscach przez jednorazowe lub kilkakrotne krzyżowania z wilkami, które dały od samego już początku różne rasy.

Stebel zaś do tych wywodów dodaje: „Do pochodzenia od wilka, względnie jemu podobnych gatunków, przekonała mnie przedewszystkiem niesłychana zdolność zmiany kształtu czaszki wilka. Ten dar warjacji dochodzi do tego stopnia, że rozmiary czaszki wilków jednej i tej samej okolicy już odbiegają znacznie od siebie. W niewoli trzymane i od młodu hodowane, wilki wykazują już znaczne odchylenie od pierwotnej formy. Znanem jest również, że wilki, tak jak i szakale, dokonywują krzyżowania z naszemi psami domowemi. Widziałem krzyżowania pomiędzy wilkiem a niemieckim psem owczarkiem i okazało się, że już w drugiem i trzeciem pokoleniu zatraciły się zupełnie cechy wilka. Ta zdolność przystosowania się jest zdaniem mojem pełnym dowodem bliskiego pokrewieństwa pomiędzy wilkiem a psem".

E. v. Otto dochodzi w swem studjum nad psem domowym do wniosku, że pochodzenie psa domowego od jednego rodzaju dzikich psów jest bezwzględnie nieprawdopodobnem, natomiast dają się sprowadzić psy poszczególnych części świata do różnych odmiennych od siebie rodzajów dzikich psów. I tak: przypomina pies indjan wilka z północnej Ameryki, pies eskimosów szarego wilka polarnego. Nadzwyczajne podobieństwo starego typu niemieckiego psa owczarskiego do europejskiego wilka jest wynikiem poźniejszych krzyżowań, z których spodziewano się polepszenia temperamentu.

Rasy małych psów przypominają szakala tak budową, jak również zwyczajami merdania ogonem, czołgania się po ziemi, wąchania pod ogonem, przewracania się na wznak, oraz oddawania uryny na bok. Prawdopodobnem jest pochodzenie naszego psa domowego od kilku odmian dzikich, a mianowicie: od wilka, od psów z Ameryki południowej, a w końcu od szakali. Przeciwko tym przypuszczeniom nie przemawia ani trudność oswajania, ani zwyczaj szczekania, gdyż czasami i dzikie psy szczekają. Lis bowiem biegnie, czasem głośno szczekając. Psy przez hodowlę zepsute, zniedołężniałe szczekają i skamlą ustawicznie, wyrażając w ten sposób swoje uczucia. Natomiast psy zahartowane, żyjące w zupełnej samotności, zapominają szczekać. Odpychający zapach dzikich psów zanika pod wpływem starannej czystości i mieszanego pokarmu, podczas gdy powstaje u psów domowych, karmionych padliną.

Wszyscy badacze zgadzają się z tem, że lis nie jest praojcem naszych psów. Wykazuje on zasadnicze różnice budowy czaszki, których ślady u psów nie zachodzą. Tak samo należy zaliczyć do bajek możliwość dokonania krzyżowania pomiędzy lisem a psem, podczas gdy, jak już wspominałem, takowe łatwo zachodzi pomiędzy psem a wilkiem lub szakalem, jak również pomiędzy szakalem a wilkiem.

Dalszym dowodem bliskiego pokrewieństwa

*) Według dzieła F. Bergmillera p. t. „Nasze psy".

pomiędzy psem a wilkiem i szakalem jest fakt, że zdziczałe psy domowe w zupełności przyjmują zwyczaje swoich dzikich bratanków. Psy zdziczałe łączą się w stada i wykonywują, jak wilki, wyprawy rabunkowe, w przeciwieństwie do lisów, polujących samotnie. Zresztą psy zdziczałe nie tylko przyswajają sobie zwyczaje wilka, zapominają szczekać, wyją i kopią jamy dla swych małych, ale także zmieniają szybko swój zewnętrzny wygląd, upodabniając się do wyglądu dzikich krewnych: pysk się wydłuża i staje się spiczasty, a uszy spadające zamieniają się w stojące. Podobne przystosowywanie się do warunków pierwotnych i zmianę zewnętrznego wyglądu (puszysty ogon i zmiana maści) można także zaobserwować u zdziczałych kotów. Zdziczałe psy występują wrogo przeciwko człowiekowi.

Patrząc na nieskończony szereg dziś istniejących form psa domowego, spostrzegamy ze zdziwieniem nadzwyczajną różnorodność ras pod względem wzrostu, sierści, maści, budowy, uwydatniającej znaczne odchylenia w stosunku do każdej części ciała, i zdziwieni zapytujemy, jak to możliwe, że wszystkie te niezliczone i tak bardzo różnorodne rasy posiadają zaledwie kilku różnych przodków? A jednak jest to objaw łatwy do zrozumienia, gdy wspominamy na możliwość mięszań i krzyżowań najbardziej nawet skrajnych odmian między sobą.

Jest rzeczą nadzwyczaj trudną uporządkować wszystkie dziś istniejące formy w jeden system, jednak na podstawie pomiarów czaszki i innych indywidualnych znaków udało się ustalić pokrewieństwo różnych odmian. *P. Zagórowski.*

Nasze książki.

Zastanowiłem się chwilę nad tym tytułem. Przychodziły na myśl inne: „O literaturze łowieckiej", „Z bibljoteki myśliwego"—ale — niech już zostanie „nasze książki", — bo i każdy z czytelników zrozumie przecież od razu o jakich tu książkach będzie mowa i uwalnia mnie taki tytuł od zbyt naukowego traktowania przedmiotu.

Myliłby się, ktoby sądził, że znajdzie w tym artykule wyczerpujące omówienie literatury łowieckiej. Starczyłoby zdaje się tego tematu na rzecz zupełnie poważną, i objętością i treścią. Nie może się wprawdzie literatura nasza równać z prawodawstwem łowieckiem, istniejącem już za pierwszych Piastów, — (urząd łowczego u Bolesława Chrobrego, prawa Mieszka Starego), — ale sięga zawsze XV wieku.

Wspomnę tu tylko o książkach, które mam pod ręką. Są to:

M. Cygański: „Myślistwo ptasze". J. Ostroróg: „Myślistwo z ogary". „Sylwan" — dziennik nauk leśnych. — W. Kozłowski: „Pierwsze początki terminologji łowieckiej". W. Mylke: „Myślitwo „krajowe". L. S.: „Przewodnik myśliwca". W. Kurowski: „Myślistwo w Polsce i Litwie". „Łowiectwo" (wykłady marymonckie).

* * *

Pierwszeństwo wśród tych książek należy się **Mateuszowi Cygańskiemu.** *) Napisał on z końcem XVI wieku rzecz p. t. „Myśliwstwo ptasze". Leży przedemną wydanie z r. 1842, drukowane w Warszawie, z przedmową Antoniego Wagi. Cygański opisuje w niem: — „sposób dostawania wszelakiego ptaka, — a k'temu przydane jest opisanie narodów ptaszych i jakiego który pióra". Więc np.: — „Drop wąsacz, popielatego a dropiatego pióra". — „Słąka (tak!) moręgego a lisowatego pióra", i t. p. Dużo tutaj znajdujemy nazw ptaków, dzisiaj nam zupełnie obcych.

Z tych samych mniej więcej czasów pochodzi Jana hr. Ostroroga: „Myślistwo z ogary". Autor, członek magnackiego rodu, wojewoda poznański, był synem Stanisława i Zofji z Tęczyńskich. Dzieło swe ofiarował królewiczowi polskiemu i szwedzkiemu — i datuje je z Komarna, 6 lutego 1618. Książka ta wydawana była kilkakrotnie 1618, 1643, 1649, 1797, i 1859 (wyd. J. Turowskiego). Jak tytuł wskazuje, opisuje w niej autor polowanie z ogarami.

Przenieśmy się teraz odrazu do wieku XIX. Z trzeciego dziesiątka lat tego wieku mamy ciekawy „dziennik nauk leśnych i myśliwych": — „Sylwan", wychodzący kwartalnie, którego znam tylko tom II. Wydany on został w Warszawie r. 1821. Zwraca w nim uwagę ustęp: „O mundurze leśnym", — z tablicą kolorowaną, przedstawiającą stroje urzędników leśnych.

Z roku **następnego** 1822 mamy książkę Wiktora Kozłowskiego, asesora nadleśnego w-twa Mazowieckiego, b. kapitana 8 p. p. linji W. P. Są to: „Pierwsze początki terminologji łowieckiej". Nie przeczytałem tego „zbioru wyrazów" od deski do deski, to też podzielę się z czytelnikami [illegible]

*) W następnym numerze „Przeglądu Myśliwskiego" ukaże się szczegółowe studjum o Cygańskim i Ostrorogu napisane przez J. [illegible].

wiadomością, że dzieło takie jest w literaturze naszej, i że Kozłowski pisze w przeciwieństwie do Cygańskiego — „bekas słomka".

Cztery teraz idą podręczniki myśliwskie. Pierwszy z nich, to Wilhelma Mylkego: „Myślistwo krajowe". Rzecz wydana w Warszawie w r. 1843. Książka bardzo dobra i pożyteczna. Poza rozdziałami spotykanemi zwykle w podobnych podręcznikach, znajdujemy w niej rozdział osobny traktujący o sposobie obielania zwierzyny, o konserwowaniu skór; spotykamy również przepisy myśliwskiego zachowania się. Jest też rozdział: „o terminologji myśliwskiej", rozdziały:—„sposoby polowania",—„broń palna i sieczna" —i t. p. Ciekawą i dzisiaj jest praca ta i wartą przeczytania.

W roku 1848 wydaje w Lesznie i Gnieznie L. S.: „Przewodnik myśliwca". — Autorem jest podobno Lucjan Siemieński. Określa on tak myślistwo: nim stało się ono rozrywką, — wpierw było potrzebą". Dzisiaj już byśmy tego zdania nie napisali. Nie wiele wogóle nowego książka ta przynosi. Zaznaczając kwestję już podniesioną— notuję, że L. S. pisze „słonka". Jeden rozdział nosi ciekawy tytuł: „O myśliwcu artyście i o fortelach zwierzyny".

Z kolei lat następuje teraz książka Walerjana Kurowskiego: „Myślistwo w Polsce i Litwie"- wydana u Żupańskiego w Poznaniu, r. 1865. Jakkolwiek z tytułu wyglądałoby, że autor ma zamiar pisać historję myślistwa, lub że tak powiem, jego geografję, to jednak jest to taki sam podręcznik myśliwski, jak i poprzednie. Traktuje o różnych rodzajach zwierzyny, o broni, o psach, i t. p. Ciekawym i nowym jest rozdział o zakładaniu zwierzyńców.

Kończę ten rozdział wiadomością o litografowanych wykładach, „nauczyciela leśnictwa w Instytucie Gosp. Wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie", wydanym nieco wcześniej niż książka poprzednia, bo w roku 1860. Tytuł pełny brzmi: „Łowiectwo, obejmujące hodowanie i ochronę zwierząt i ptaków łownych oraz tępienie zwierząt drapieżnych". Dzielą się te wykłady na dwie części: I. Przyroda zwierzyny łownej, i II. Ochrona zwierzyny łownej. Ciekawą stronę dla wielu będą tutaj stanowić rysunki łapek, sieci i t. p.

W dalszym ciągu tej pogadanki do nowszych nieco czasów przejdziemy.

Roman Horoszkiewicz.

(D. c n.).

Rozmaitości.

Zgon uczonego.

Wynalazca bezdymnego prochu James Dewar umarł w Londynie w 81 roku życia. Był on profesorem chemji w uniwerstytecie w Cambridge. On również wpadł na pomysł przechowywania ciepłych płynów i pokarmów we flaszkach zw. „Termos".

Hodowla lisów w Kanadzie.

Według raportów handlowych rządów Stanów Zjednoczonych, 1920 r. na terytorjum Kanady istniały 582 fermy, zajmujące się hodowlą zwierząt dających cenne futra, a w tej liczbie 573 fermy, hodujące wyłącznie lisy.

Na tych fermach lisich liczono w 1920 r. 14.880 lisów, wśród których znajdowało się 13.405 przedstawicieli tak cennych lisów srebrzystych.

Jakiem hodowla ta cieszy się powodzeniem, tego dowodzi fakt, że z owych 14.880 19.332 lisów przyszły na świat w niewoli.

W ciągu 1920 r. fermy lisie dostarczyły na rynek futer 2.030 skór lisów srebrzystych, wartości 383.835 dolarów. Cena za taką skórę wynosiła od 75 do 750 dolarów.

W tym czasie sprzedano żywych lisów srebrzystych za 745.021 dolarów. Cena takiego żywego lisa srebrzystego dochodzi do 1.200 dolarów.

Według obliczeń „Commerce Raports", hodowla lisów przynosi przedsiębiorcom 19 proc. od włożonego w nią kapitału.

Ostatnie okazy żubrów w Polsce.

Ostatnie okazy żubrów w Polsce, pochodzące z puszczy Białowieskiej, żyją w Pszczynie na Górnym Śląsku. Liczba ich wynosi zaledwie 5 sztuk, w tem samiec, krowa i 3 cielęta. Samiec liczy około 20 lat. W 1914 r. ogólna liczba żubrów w pszczyńskich lasach wynosiła około 100 sztuk. W czasie ostatniej zawieruchy wojennej „Grenzschutz" wybił 70 sztuk, zaś w czasie powstania majowego na Śląsku kłusownicy wystrzelali 32 sztuki. Obecnie ze wspaniałego stada pozostało tylko pięć sztuk, otoczonych troskliwą opieką.

W czasie powstań śląskich kłusownicy tępili żubry bez litości. Byłoby wskazanem, aby teraz okazy te otoczono taką opieką, by je ocalić i rozmnożyć. Na okazy te zwracamy uwagę naszych przyrodników.

Polowanie na foki z aeroplanem.

Po raz pierwszy zastosowano w tym roku do polowu fok w Nowej Fundlanoji aeroplany. Będą one pełniły służbę wywiadowczą, a po odkryciu legowiska fok, będą o tem donosiły myśliwym zapomocą telegrafu bez drutu. Oczekują w ten sposób znacznego zwiększenia połowu. W ostatnich latach połowy były mniej obfite, poczęści z powodu zmniejszenia się ilości fok, a poczęści z powodu trudności, jakie napotykały statki w osaczeniu tych zwierząt. Flota myśliwska wraz z aeroplanami powróci zapewne z połowu w końcu kwietnia.

Odpowiedzi od Redakcji.

Sz. Czytelnikom, którzy zapytują o książkę omawiającą broń śrótową polecamy wydawnictwo p. Downar-Zapolskiego p. t. Broń śrótowa". Do nabycia w składzie broni p. f. „Czerski i Sawicki" Królewska 31.

Panu Jerzemu K. (Kaliskie). Bałwanki cietrzewie posiada w Warszawie jedynie Spółka Myśliwska. (Królewska 17).

Panu Wacławowi B. w Brześciu. Za słowa uznania dziękujemy. W kłopocie Pańskim chętnie służymy radą, a mianowicie polecamy firmę „H Sawicki i S. Czerski", Królewska 31. Może Sz. Pan z całym zaufaniem oddać najdroższą broń, będąc pewnym solidnego i fachowego wykonania. Co do zmiany, to mamy wrażenie, że też jest możliwa. Firma donosi nam, ze otrzymała teraz nowy transport pierwszorzędnych broni belgijskiej fabryki „Jos. Defourny". Radzimy napisać wprost do firmy.

P. Ant. M. „Wódka Myśliwska" firmy Hartwig Kantorowicz b. dobra, choć nie tak stara jak Sz. Pan przypuszcza (firma istnieje 100 lat).

ERRATA.

W artykule Gen. Grąbczewskiego, w № 7, wkradły się dwie pomyłki:

Po słowie „Skobielew" winno być: (1877—1878 r.).

Po słowie „Syrt—Darja" winno być: (Grecka Jaxarta).

W oddzielnej prenumeracie egzemplarze zbroszurowane, na lepszym papierze.
Prenumeratorzy „Kurjera Polskiego" otrzymują „Przegląd Myśliwski" bezpłatnie, jako dodatek.

Numer pojedyńczy — 1000 mk. Prenumerata miesięczna (z odsyłaniem do domu) — 2400 mk.; kwartalna — 7200 mk.; półroczna — 14.400 mk.

Cena ogłoszeń: strona — 200.000 mk.; 1/2 str. — 100.000 mk.; 1/4 str. — 50.000 mk.; 1/8 str. — 25.000 mk.

Druk. Spółka Wydawnicza Powszechna, Szpitalna Nr. 1.